

Każdy nowy dzień jest kwiatem,
który zakwita w naszych rękach.
Tam gdzie się kocha,
nigdy nie zapada noc.
Serce to cząstka człowieka,
który tęskni, kocha i czeka.*

Opowiadanie dla A.

Listy do Julii Carter

II

Tańcząc w morzu maków

Monte Cassino, 17 czerwca 1944

Wiatr historii powiódł ich aż do podnóża gniewnej góry. Na jej szczycie bieleły się, w południowym słońcu ruiny benedyktyńskiego klasztoru. Zza sterty kamiennych szkieletów, które kiedyś wyznaczały framugi okien, wystawały lufy karabinów. Tu i ówdzie można było zauważyć wychylający się ostrożnie zza muru, tkwiący w błękitno-niebieskich oczach strach. Nosił różne oblicza: jednym razem przywdziewał maskę młodego, niespełna dwudziestoletniego blondyna, kiedy indziej był mężczyzną w sile wieku, o ogorzalej twarzy, twardym zaroście i kruczoczarnych włosach. Każda z tych masek ubrana była w ten sam, naznaczony śladem bitew mundur i stalowy hełm. Na zgłiszczach dumnie powiewała flaga: czerwona, ze złamanym, czarnym krzyżem w środku.

Wszędzie, gdzie okiem nie sięgnąć rozpościerał się karmazynowy dywan utkany przez deszcz, słońce i ziemię. Zobaczył ją, gdy tańczyła z wiatrem w morzu czerwonych maków. Niewinna biel jej „służbowej sukni” cudownie kontrastowała z ognistą czerwienią kwitnących pod Monte Cassino kwiatów. Na głowie miała coś białego, z wyhaftowanym, czerwonym krzyżykiem pośrodku, co jemu w pierwszej chwili wydało się srebrnym diademem księżniczki, spod którego wysuwały się nieśmiało złociste kosmyki jej włosów. Podeszedł bliżej, w pośpiechu zamieniając swój karabin na pęk kwiatów, wśród których oboje tonęli. Nie znając jej imienia powiedział do niej:

- „Każdy nowy dzień, jest kwiatem, który zakwita w naszych rękach”. - Ona obróciła się pospiesznie, nie wiedząc, kim jest tajemniczy rozmówca. Spoglądając na niego swym łagodnym, miodowym wzrokiem, czuła jak przez krtań próbują się przedostać małe, ubrane w płaszcz adrenaliny kropelki śliny. Pozwoliła, by w jej dłoni zakwitły maki.

- „Gdy się kocha, nigdy nie zapada noc” - dodała po chwili poprawną polszczyzną, spoglądając jednocześnie na oliwkowy mundur i zdziwiony słup soli, który był nim otulony.

W jednej chwili oboje poczuli, że równomierny dotąd oddech ich serc zamienił się w poszukiwany przez lata okrzyk euforii. Oboje mieli świadomość, że dostali od gwiazd tylko ten jeden dzień i być może dla nich „nie będzie żadnego jutra, tak jak i nie było nigdy żadnego wczoraj”.

Żołnierz przyglądał się, jak odchyła głowę, pozwalając, by wiatr układał jej włosy. W kącikach ust pojawił się tajemniczy uśmiech Mona Lisy zwany przez niektórych zauroczeniem.

- Jestem Marek, ale kumple z pułku wołają na mnie Jimi - wydukał łamiącym się głosem.
- Jestem Julia z Werony - odpowiedziała zalotnie dziewczyna.
- Skąd znasz Mickiewicza? - zapytał.

* Adam Mickiewicz.

Lecz ona nie odpowiedziała. Pozwoliła tylko, by jej palec wskazujący osiadł miękko na jego ustach. Spacerowali przez ich krótkie życie trzymając się mocno za ręce. Gdzieś tam na szczycie gniewnej góry setki takich jak on wędrowało teraz do gwiazd lub do podziemi. Dziesiątki zaś takich jak ona próbowało z narażeniem własnego życia zatrzymać ich po tej stronie księżyca. On dowiedział się, że wybrała „Czerwony krzyż” kosztem pewnego trzydziestoletniego Włocha, który więcej potrafił powiedzieć na temat kształtu dna kieliszka niż tego, o czym marzy jego żona. On z kolei cudem ominął ponure lasy Katynia, wędrując wraz z wichrami historii przez Bliski wschód, Afrykę północną, aż wreszcie trafił tutaj. On miał przed wojną troje dzieci i drugą połówkę serca, która na zawsze pozostała ukryta pod gruzami jednej z warszawskich kamienic. Ona, nosząc na palcu złotą obrączkę, w sercu pielęgnowała jedynie ból i wspomnienia wieku niewinności, w którym zawsze wszystko kończyło się dobrze. W tej chwili nie miało to jednak znaczenia. Ich obrączki były różne, ale serca i myśli mieli jednakowe. Nim się spostrzegli słońce już dawno spało, a srebrny, półkolisty pan nocy i wszelkich tajemnic ustawiał na niebie swoją służbę. Najpierw zrugął kilkunastu młodzieńców, za to, że jeszcze nie stoją na wyznaczonych posterunkach. Chwilę potem na niebie zabłysnął „Duży wóz” zza niego zaś wychylał się „Mały wóz”. Julia i Jimi podziwiali teraz jak „Perseusz” gra w karty z „Orionem”, a znaki zodiaku trzymając się za dłonie tworzą magiczny krąg wokół niebieskiej planety. Gdy tylko na niebie zabłysły wszystkie gwiazdy, orkiestra świerszczy rozpoczęła swój koncert. Jimi wyjął z plecaka wojskowy koc, próbując przykryć nim jak największą ilość czerwonych maków. Julia usiadła wygodnie obok niego, pozwalając, by palce mężczyzny przesuwają się wzdłuż linii jej kręgosłupa. Mimo, że cały świat żył od pięciu lat wśród odgłosów armat i karabinów, tu, pośród morza maków słychać było tylko koncert świerszczyków i szepty Mickiewicza. Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy przed zetknięciem ich warg. Pierwszy pocałunek był jak jeź - miękki i delikatny, lekko wilgotny, niczym zabłakana kropelka rosy spływająca o świcie wzdłuż kwiatu róży, a jednocześnie miał tysiące małych, niewidzialnych igiełek, które w tej jednej chwili wbiły się w ich serca. Zanim zrobił to drugi raz, przesunął otwartą dłoń po jej delikatnym, dwudziestoletnim policzku. Wspomnienie jego obrączki zdawało się tonąć w mgłę zapomnienia, pośród gąszczu jej złocistych włosów.

Gdy ona leżała wśród maków, z oczami wpatrzonymi w blask księżyca, on delikatnymi ruchami dłoni uwalniał jej ciało z białego munduru, który w zwodniczych promieniach słońca wydał mu się jedwabną suknią księżniczki. Małe, metalowe guziki z wyrysowanym na nich czerwonym krzyżem stawały dzielny opór zniecierpliwionym dłoniom mężczyzny. Gdy wreszcie ustąpiły, Jimi odkrył, że chowa się pod nimi zielona wojskowa koszulka, podobna do tej, którą on sam nosił. Jego dłoń powędrowała teraz wzdłuż szyi, aż do małego zagłębienie u jej podstawy, które nie wiedzieć, czemu - jako jedyne miejsce na ciele nie posiadało swojej nazwy. Jakies pięć centymetrów w dół od tego miejsca żołnierz napotkał medalik koloru południowego słońca. Jimi uwięził Julię w miłosnym pocałunku, zdejmując jednocześnie z jej szyi łańcuszek. Ujął go teraz w dwa palce i zaczął powoli przesuwając wzdłuż linii jej żeber. Gwiazdy zdawały się świecić jakby jaśniejszym blaskiem...

Obudził go pierwszy promień jutrzeńki, przechadzający się dumnie po jego śpiącym obliczu. Pięknej Julii nie było obok. Pozostał tylko złoty łańcuszek i list...

„Drogi Jimi,

Nie szukaj szczęścia pośród kwiatów, ani na polu bitwy. Nie szukaj go nigdzie. Jeśli ma wypełnić przestrzeń, która nas dzieli, przyjdzie samo w chwili, w której najmniej byś się tego spodziewał. Pamiętaj, że liczy się tylko chwila ta, która właśnie trwa. A jeśli to właśnie ją pokochałeś największą miłością Twojego serca, to wiedz, że ta miłość kiedyś do Ciebie wróci.

Monte Cassino, 19 czerwca 1944

Operacja o kryptonimie „Diadem” zakończyła się sukcesem. Po czterech natarciach wojska alianckie stanęły na szczycie gniewnej góry. Droga do północnych Włoch stała otworem. Dziewiętnastego czerwca o świcie żołnierze dwunastego pułku ułanów widzieli cień swojego kapitana, który z dumą polskiego żołnierza, lecz z sercem zranionego kochanka zawiesił biało-czerwony sztandar ma gruzach, wśród chmur...

Gdzieś u podnóża góry, pomiędzy polem białych krzyży, a morzem czerwonych maków znajdował się punkt opatrunkowy armii aliantów. Świadkowie wspominali po latach blond włosą pielęgniarkę o oczach barwy bursztynu. Miała na sobie fartuch, taki jak jej koleżanki, a jednak inny, bo z jednej z kieszeni wystawał zasuszony pęk polnych kwiatów...

Monte Cassino, 25 czerwca 1944

Na uroczystym apelu generał Anders przyznał najwyższe polskie odznaczenia. Miało je otrzymać czterech żołnierzy, którzy wykazali się największą odwagą oraz jedna pielęgniarka, która, mimo iż Polką nie była, jak mało kto na to odznaczenie zasłużyła...

- Szeregowy Piotr Markiewicz! - zagrział głos generała
- Obecny, panie generale! - odpowiedział jeszcze głośniejszy żołnierz.
- Kapitan Paweł Nowak! - ponownie wyczytał, prosząc jednocześnie o medal dla swojego podwładnego.
- Obecny panie generale!

Mężczyzna wyprężył dumnie pierś do medalu.

- Kapral Roman Dąbrowski!
- Obecny panie generale! – odpowiedział, wychodząc przed szereg.
- Kapitan Marek Adamski!! Kapitan Marek Adamski! Do odznaczenia wystąp! - ponaglił generał Anders.

Na placu zaległa głucha cisza.....

- Julia Girard, pielęgniarka. Do odznaczenia wystąp! - ponownie na rozkaz generała przed szereg wystąpiła jedynie milcząca pamięć, tym razem o pięknej Julii z Werony....

Monte Cassino, 19 czerwca 1994

Na uroczyste obchody pięćdziesiątej rocznicy bitwy pod Monte Cassino przybyło wielu świadków tamtych chwil. Nie było już wśród żywych generała Andersa, nie było Hitlera, Eisenhowera, ani Montgomery’ego. Nie było wystrzału karabinów, nie było już czarnych chmur, ani wojny. Były za to wspomnienia o tych, którzy nie zdążyli zobaczyć, jak budzi się do życia świat w raz z pierwszym promieniem słońca. Były rzędy białych krzyży i jak co roku o tej porze, poruszane niewidzialną dłonią południowego wiatru bezkresne, tajemnicze morze czerwonych maków, wśród których tańczyła pewna kobieta. Miała na sobie zwiewną, białą suknię, a srebrny blask jej włosów cudownie kontrastował z ciągle żywą, bursztynową głębią jej oczu. Pewien starszy mężczyzna zerwał kilka kwiatów, a nie wiedząc, czy kobieta na pewno ma na imię Julia powiedział:

- „Każdy nowy dzień, jest kwiatem, który zakwita w naszych rękach.”

Kobieta odwróciła się nieśpiesznie. Po jej policzku potoczyła się łza. Miała na imię Julia.

TheAnd